

Szymon Kantorski

Solo

Biblioteka Nowego Nurtu
Poznań 1995

Jest to poezja bardzo „literacka”. I dlatego, że napięta językowo, i dlatego, że kreująca sensy, a nie je opisująca. Kantorski ucieka od wykładni egzystencjalistycznej i egocentrycznej perwersji. Stara się być z boku i domalowywać wasy księżycowi. Zawierza metaforze i przypadkowi. Choć jego wiersze mogą sprawiać wrażenie hermetycznych, trudnych w odbiorze (zwłaszcza po dykcji Podsiadłopodobnych), uruchamiają wyobraźnię czytelnika i zapraszają go do wspólnej zabawy.

JULIAN KORNHAUSER

Dychotomia prostoty i manieryzmu, realizmu i nadrealizmu, bezpośredniości i hermetyzmu oraz egzaltacji i powściągliwości. Postulat mówienia wprost zderza się ze skłonnością do „symbolizowania”, a przynajmniej pseudonimowania rzeczywistości. To tak jakby ktoś chciał pogodzić O'Hare z Peiperem (...) Miałem przyjemność przeczytać wiersze kogoś, kto z całą konsekwencją wybrał własną drogę i zdołał już na niej postawić kilka mocnych i zdecydowanych kroków.

KAROL MALISZEWSKI

Szymon Kantorski

Solo

TOM I

Wydawnictwo KURPISZ

Biblioteka Nowego Nurtu

Poznań 1995

© Copyright by Szymon Kantorski
Redakcja: NOWY NURT
Korekta: Katarzyna Bułczyńska
Redakcja techniczna: Agnieszka Pisarek
DTP: Przemysław Nowaczyk
ISBN 83-86-600-30-6

Ani

Bajka poranna

Sen odszedł. W nie zgaszonym telewizorze, modelki
Jak wypalana trawa. Znowu siłujesz się z bicipsem klamki
Którą nocą ktoś ciągle zmażywał, dorysowując gdzie indziej.
Pochylona nad kartonem książek, próbujesz raz jeszcze uwierzyć
Króliczkom. Że wszystkie inne zwierzęta zniknęły z ich bajki
Dawno, dawno temu. Przypadkiem. I gdzieś z tyłu za kolorowymi
Domkami z puzzli i niebem pełnym aeroplanów
Nad udeptanym placem nie wznosi się brama
I napis: PRACA CZYNI DŁUGOUCHYM.

Oglądamy nasze poranne ramiona zapisane pięciolinia
Paznokci. Dziurawy kran w kuchni cierpi na wielodzielną.
W labiryncie zegara mała wskazówka przyśpiesza.
Duża stoi w miejscu. Przedmioty umykają
Jak zmielone papierki w kieszeni płaszcza.
Napięte parasole dachów czekają na pierwsze
Słońce. Naprzeciwko, w domu specjalnej troski. Dzieci
Stawiają na parapetach plastelinowe koniki i słonie.
Wszystkie z dwiema głowami.

Potem

Potem przyszli zbieracze szat
porozrzucanych wokół
W świetle wysokich ognisk
rozdzielali odzież i szmaty

Z wysokiej drabiny włóczką i igliwem
zacerowano brzegi rozdartej zasłony
Babę z dziećmi zaplecionymi w koki
przy Palały w ogniu szare skrzydła chust

Kroniki strona za stroną opadały
z ich rąk przezroczyste płatki skóry
Pośpiesznie wykopywano z korzeniami
kolejne trzy drzewa wyrosłe tej nocy

Balans

Na stoliku upału
pusta karafka
jabłka.

Już kiedyś tak było
ale inaczej.

Pamiętasz
blizny błota.
Utrwalona przez mróz
fotografia.

Potem wspinaczka
rozkołysany sznur
schodów.

Do wnętrza dzwonu
na chwilę.
Przed pierwszym
uderzeniem.

Podział dychotomiczny

Twój świat przedmiotów i pragnień
zamienia się w biały ptasi puch
Słowa i ciepło ulatują
przez coraz cieńszą skorupkę ścian

Rozsypała się klepsydra telefonu
z samych tylko szeptów, pierza i koronek
Pustoszeje książka numerów
— tomik niekoniecznej poezji

Za granicą drzwi
o które można jeszcze skaleczyć rękę
Coraz mniej jest miejsca
w zarastającym wnętrzu kamienia

Wosk spływający wzdłuż ręki i palca
nie skleja już niczego
Najwyżej strąci
gliniany garnek powiek

Dokąd odrzucisz
śpiewającą zapalkę

Zapalniczka

połykacz ognia
z cyrku Arena
odszedł któregoś
ranka bez słowa
zaciskając w ustach
sznaciące słońce
pozostała po nim
tylko walizka
na pozófkłej
fotografii

podniosłem go
z kurzu obok drogi
i noszę w kieszeni
jak senną pomarańczę
coraz mniejszą i bledszą
z głową złożoną
na kamieniu
odwraca ją
gdy robię
pstryk

I

Stoisz z kołatką w ustach.

Obok

Kremowy cyprys martwej sukienki

Niemiecki chłopiec w wazonie.

Milknąca

Wymujesz spod powiek

Tańczącą kostkę cukru.

Syczą

Czerwone wskazówki paznokci. Żuki

W studni pośrodku cyferblatu brzucha.

Tabletka księżycy krąży w czterech wargach.

II

Wyrwana z płomienia kurzu

Szmaciana ćma żarówki

Komora gazowa

Napełniana oddechem.

Sonet z muzeum

27. I. 1945

W parku, sennej katarakcie miasta

Schroniliśmy się rankiem, uciekinierzy z muzeum

Do wieczora każdy mógł wysuszyć ubranie

Ciężkie od naftaliny, deszczu, ulicznego śpiewu.

Cztery dni w podróży żywił się jedynie

Tomami klasyków, powolnym dominem czasu

Pozwalaliśmy przechodniom szarpać się za brody

Twarze chroniąc przed słońcem pod czarny parasol.

Prowadzeni kreską niewidzialnego cyrkla

Pod papierowym namiotem wolno opadał linoskoczek

Azurowy motyl, imperatyw liryczny dzieciństwa.

W kącie naszych ust gorejącego krzewu

Ząb mądrości, palec serdeczny snuli wspólne plany

Błądziliśmy ciągle dalej, w rekwizytorni naszego muzeum.

Wojna jest kolorowa, uśmiegnięta
i dobra. Przynosimy ją do domu.
W kartonie. Znajdujemy miejsce i czas.
Wystawiamy na dachu metalowy proporzec
Który lubią ptaki. Padają komendy:
PAL., czuwanie, skoki po kanałach.
Pilot kieruje ruchem ręki.

Pokonanych widzimy tylko przez ułamek sekundy
Zwyczajny proszek, zwyczajne mydło, zwyczajna
margaryna, od której nie puchnie ciasto. Ataki
kwasów na zęby odpierane są z coraz większym
trudem. Okazuje się, że zawsze towarzyszy nam
współczynnik pecha. W ustach. Zdobywane są kolejne
przyczółki. Zęby, włosy, skóra, marka samochodu.

Jak w przypadku każdej z wojen
większość płaci za to najwyższą
cenę.

Zamiast oczekiwanych barbarzyńców
Pojawiły się dinozaury.
Zebrani na rynku pominęli to milczeniem.
Choć w każdym z ich domów jest już chociaż jeden.
Są małe. Można je przez nieuwagę zdeptać.
Wszędzie pod nogami pełno ich cmentarzy.
Wykopaliska wysypisk. Zebracy zostali
Archeologami. Szkielety z papieru i plastiku.
Oprą się niszczącej glebie.
Zadziwiający postęp ewolucji.
Żywią się paroma tysiącami odmian
Języka. Snamy pięciolatków.
Instykt jak zawsze nakazuje walkę
O przetrwanie ich (z)bytu.
Barbarzyńcy są.
Przy nich tylko
Dziećmi.

Tańce

Idziemy. W kieszeni
pełno drobnych
kamieli. Będziemy nimi rzucić
w twarz jak confetti. Lży
polecą. Bez picu.

Kontuar przy wejściu.
Cyrkowe zwierzęta w kolorowych
namiotach butelek. Zaraz
skoczą przez płonącą obręcz
gardła.

Wszystkie panienki tańczą.
Niektóre w domach jak latawce
na uwięzi. Matki obracają
wieczorne koło fortuny
różańca.

Złamało się... kur-
czowo trzymane wiosło papierosa.
Ostatnim odpychamy się
między stolikami na jeziorze
dymu.

Na słonecznym zegarze
parkietu. Cień moich pleców
wskazuje godzinę o
której zajdę za
horyzont.

Nieczysta gra

Słońce. As
z rękawa
horyzontu.

Fliper

Ostroroga.
Mleczę podeszły pod okna.
Słońce chowa się przed upałem.
Gruba krata w oknie.
Zamknęła resztę świata.
Nie ma paru ludzi i kontynentów.
Poniedziałek. Rano.
Przerwa w grze niemożliwa.
Stałowa kulka błędnika.
Czeka na pierwszy ruch.

Zeppelin

Nie podniosę ręki gdyż wiem
Dokąd mnie poprowadzić może
Ruch to próba zrozumienia ja rozumiem
I znam wszystkie marki win francuskich prócz jednego
Rocznika tysiąc osiemset któregoś tam jego zapachu
Nie ma już w tamtej najgłębszej szklance
I na pokrytym potem ramieniu dziewczyny
Wypalonej słońcem ze ścieżki.

Nie otworzę oczu gdyż wiem
Bez błędnie ocenię kolor wśród innych
Dlatego ołowiany wachlarzyk rozchyła się coraz
Głośniejszy stoi słoik z żądłem zamknięty
Na czas wielkiej ciszy by nas bawił trochę
Podążam za kielichem kwiatu pochylonym
Słupkiem metronomu wiatr wypełnia usta
Zeppelin zapachu. W niebo.

Odpłynięcie Titanica

Słoneczny poranek z profilu
I na wprost — pozbawiony cienia
Wszędzie. W zatoczce kciuka
Zmarszczonej delikatną linią,

Puszyste wiewiórki lin, warkocze
Pielęgnowane francuskim pudrem
Pękają. Kolorowe parasolki, wrzawa
Wycieczka emigrantów przez trzy równoleżniki
Wróżb. Po przylądki: Wskazujący i Serdeczny.

Nie wiadomo. Ikar z biletem ostatniej klasy
Miejscówką obok piernikowego serca statku
Chce wrócić — rozkłada papierowy samolotik skrzydeł
I w dół — tuż nad gwiazdozbiorem fal
Parzy lotki, spada w górę, słonecznego oceanu nieba.

Lodzie

Przeglądają się w sobie rozbite
Orzechy łodzi przysypane piaskiem
Między pęknięte drewniane kości
Ulatuje powoli twarz wody

Rysów kamień opada powraca
Rozcinany wskazówką wiatru
Zerwane w ustach tamy szminki
I obca krew napływa z morza

Powieki wiosel opuszczone ramiona
Sól toczy wersy martwego języka
Ciemne przepołowione księżycą odbicie
Wyrzucone rankiem na złotą maskę

Wysokie usta drzewa
ciagle zamknięte

Madonny dymu przeglądają się
w ołtarzykach liści
Potem wiatr miesza je
powoli z ziemią

Czarna kreska pnia
między zaciśniętymi wargami
Gałęzi
na których siadają ptaki

Rośnie
tylko w milczeniu
Coraz cięższa
od gniazd i spojrzeń

Pierwsze słowo będzie ost-
rzem

Ziazia

Pod pustym balkonem
Pleni się Romeo trawy.
Drobne, oswojone słońce
Niepotrzebny bilon. Dzieci
Opodal budują pięciominutowe miasta.
Tylko wilgotny piasek zwraca na to uwagę.
Zimne owady wciskają się w szczeliny pościeli.
Julia. Nie pójdzie dziś nigdzie. Dokąd?
Trujące fusy łowią szelesty jednym uchem kubka.
Śmierdzą spalenizną ciała zabitych papierosów.
Czerwone światło.
Ciagle płonie
Nad przejściem.

nigdy
nie dotrę
do samego środka

rozkładasz
przed deszczem palców
kruche parasolki piersi

murzyńskie maski
pigmentu
kapią na skórę

unosimy pod światło
wyszczerbione
confetti ciała

Mirmo

Dom stoi pusty.
Jedna przed.
Druga za.
Obie w ogrodzie.
Spoglądają ukradkiem
w rozchylone powieki okiennic.

Ta która jeszcze
nie weszła otwiera się
jak srebrna koperta zegarka w palcach.
Pokryta ciężkimi liśćmi pigmentu.
Ramiona wskazówek obejmują wciąż. Tylko powietrze.

Druga, która właśnie zbiegła
po schodach. Widzi teraz wszystko.
Nawet w ciemności. Chce znaleźć miejsce bezwietrzne.
Gdzie na lodydzy ciała w donicze czyichś palców.
Zakwitną kolejno sezon po sezonie kolory.

„Po co mam wchodzić do środka? W niepewność ścian.
Uzbrajać się w cierp... Jeszcze szukam (oszukuję? się?)”
Wiatr porywa wszystkie napotkane oddechy.
Każdy z nich odczytuje w jej twarzy tylko swoją godzinę.

„Po co mam wracać znowu po tych schodach?
Jest chłodno. Nie szukam już tego długiego szala”. Szlochu.
„Został tam, gdzie mój zapach nie potrafił zagłuszyć innych”. Obcych.
„Teraz umiem już rozpoznawać kolory. Niektóre z nich są jak narkotyk”.

Jedna przed.
Druga za.
Obie w ogrodzie.
Dom stoi pusty.
Tylko w telewizorze
magda ma-

sny.

Drzwi

z ostrymi paznokciami zamków.
 Za nimi przygotowane papierowe torby.
 Kamienne tablice wypełnione po brzegi
 zgodnie z dziesięciorgiem przykazań
 telewizora. Wszystko w nich
 rozdzielone szkłem i kolorem.
 On albo Ona za drzwiami łazienki
 rozlewa czerwone morze. Na drugim
 jego brzegu, w kuchni gotujesz
 się do drogi.
 Opustoszały zakątek łóżka
 został tylko zapach. Zapalasz
 więc światło, aby zasnął tam
 twój wydłużony cień. Rano
 nóż i widelec
 w białych smokingach serwetek
 stepują na brzegu talerza. Pod
 pleniącym się wszędzie
 doniczkowym zielskiem kurzu.
 Wisielcem słuchawki
 na zbyt długim sznurze.
 Czeką szczęśliwy los.
 Do Disneylandu.
 Takiego Alcatraz
 dla dzieci.

Cyrk odjeżdża z miasteczka

Kolorowe obręcze piasku
 Jeszcze przez chwilę wirują
 Nad kołami drewnianych przyczep
 Zmęczone tancerki złożyły
 Do snu swoje ciała.
 W gospodzie na brudnych stolikach
 Areny z zapalek. Pchli cyrk.
 Deszcz i słońce zdrapują naskórek plakatów
 Z parkanu. Nocą podniesie się koło trawy
 Przygniecionej wilgotnym namiotem.

Mali chłopcy będą żonglować
 Jeszcze przez parę dni zmarzniętymi
 Jabłkami z pobliskiego sadu. Potem
 Zapomną. Brudne klatki zwierząt
 Na długo pozostaną w psich oddechach.

Monety w kieszeniach akrobatów
 I kłownów niskie, wilgotne.
 Jak domy miasteczka. W nich
 Zamieszkają przez kolejnych parę dni.

Pomiędzy jednym a drugim nożem
bracia Vicario pili.
Któraś z kobiet powie potem
że dostrzegła w ich rękach
jedynie bukiety róż.

Biskup w ornacie koloru
koguciego grzebień
błogosławił ich
postanowienie.

Anioł Stróż
nie rozpoznany przez nikogo
zamknął się w domu własnych skrzydeł
z paroma butelkami
wina, przed sądem zezna
że czuł się nikomu niepotrzebny.

Jego przyrodni brat
w kolorze sadzy i palonych jabłek
jeszcze wieczorem przyjmował zakłady
wśród tłumu gapiów
nieznaczną przewagę kul czarnych
potem tańczył grał na skrzypcach
niektórzy mówili to nie przystoi
smakował wszystkim pokruszony
lament.

Za linią krzepnięcia krwi
bracia Vicario coraz mniejsi
odchodzili do dnia swych narodzin.

(Gabriel García Márquez — „Kronika zapowiedzianej śmierci”)

Fenek

W piwnicy przechował butelkę
pełną owadów zalanych wrzątkiem
dwadzieścia lat temu
w ogrodzie pewnego
lata.

Każdy potrażał nią
i patrzył jak wirują
czarne płatki nad
domkiem polnego kamyka
na dnie.

Narzędzie zbrodni
zawsze wyrzucał
i znajdował co
wieczór na niebie
srebrne.

Mówił że one były podobne
do flakonów Trés Jourdan
cuchnąca pomada opuszczała
je bardzo
prędko.

Spirale
błyszczących włosów
poutykane w doniczki
nie zamieniały się
w błuszcz.

W ostatnim słowie
wyraził życzenie
by na każdej skleionej
torebce mógł pisać
made in fenek

Déjà vu

W pewnym momencie palców nie można już ułożyć we wzór klucza.
Najgorzej jeśli zostało się wewnątrz.
W otoczeniu uległych prostytutek przedmiotów.
Gramofon powietrza będzie kręcić w koło.
Diamentową igłę kroków po rysach posadzki.
Tłum gapiów krąży wokół parapetu. Oskrzydła.
W oczekiwaniu na okrucy hałas i nawoływania.
To nic. Meble można łatwo pozabijać w komorze gazowej balkonu.
Deszcz, słońce i wiatr, może nieoczekiwany cyklon. B? Zrobią swoje.
Skrawki kobiecej skóry trzeba delikatnie odpruć i zwinąć.
W paski serpentyn. Dzieci wetknąć w wilgotny brzuch wazonu.
Podobno nieświadomie zawsze tego pragnęły.
Kurz w aerozolu zakryje wszystkie puste miejsca.
Stalową linkę zaczepioną o żebra trzeba naciągać powoli.
Bolesnie po kolei przewracać kostki domina za oknem.

Może morze...

Wiatr od morza. Wiatr od kobiet.
Pelikany na stalowych nogach
Łowią śmieci w plastikowe torby.
Polowanie. Słońca na prześwietlanej blonie
Skóry. Piasek przyjmie uległe
Szkielety papierosów i martwe zwierz
-ęta? -enia? Zamki z piasku uwielbiają być
Deptane. Tylko trawa jest jeszcze
o dziwo w jakimś kolorze.

Fotografie

— *Gustavo Saintzowi*

Amparo Carmen Teresa
Yolanda w dzieciństwie
zamykana przez macochę
w główce od szpilki
pod szpikulcem światła
na tarasie dziecięcego domu
kapłała się nago w żelaznej beczce
pod ciężarem słonecznego okładu
pod ciężarem wilka i sowy

Potem dumna
wystawiała twarz
z rozmazanym makijażem
nasienia, na widok publiczny
bezwstydnie przed okiem
aparatu 35 milimetrów
to wszystko

Groteskowy chłopczyk
zanurzony w sadzawce brzucha
nie zdążył nawet uwierzyć
w początek i koniec alfabetu
kiedy na środku księgami
przy Avenida Hidalgo
ogień zaczął rozpinać spódnice

Tych dwoje nie
mieszka już razem

Jarmark staroci

Podkasane lalki wiszą
Za szyje na sznurach, wiatr
Porusza naftaliną sukienek, badyły
U bioder trzeszczą chore na ischias.

W dole osiemnastolatki egzaltowane hostią
Ususzonych kwiatów kureczą rodzyнки skóry
By zestarzeć się przepięknie, tak jak one.
Kiedyś chciały.

Nasz ocean

Zawsze znajdziesz gdzieś jeszcze
zabrudzoną szklankę. Miejsce
na gwóźdź który utrzyma
jeszcze przez parę dni przy życiu
jakiegoś umarlaka w za ciasnym
garniturze doniczki. Usiądź
niech nie ciągnie cię za sobą
latawiec radia. Choć ktoś nastawił
wiatr na pełny regulator.
Ustaw zegar przed lustrem.
Gdy przejdzie ostatnia wysoka fala
Rozpocznij powolny powrót
do brzegu.

Déjà vu II

Znam człowieka który jedną ręką mógłby
Zakręcać drzwi komory wypełnionej mieszaniną ludzi i gazu
Drugą podnosząc do oczu, wypatrując syreny
Zwiastującej białym gwizdem dymu posiłek lub koniec świata

Znam też paru innych, którzy nigdy
By tego nie zrobili, ale nie o nich mowa

Może więc o kobiecie, która co rano nakłada
Kuloodporną kamizelkę szminki, myśląc o zapewnieniu
Sobie, swoim dzieciom, psu, kotu, rakowi matki
Godziwej przyszłości. O związanych z tym zapewnieniach mężczyzn

Nie potępiam ich za to, wstają co rano, są zmęczeni
Mimo to respektują przepisy drogowe, mają dużo znajomych

Przypatruję się w TV paru sp(i)eszonym żołnierzom
Zezacającym bomby, przepocone buty i winę na innych za to
Ze ciała wygrzebane rano spychaczem były prawdziwe
Ich także, zawsze i wszędzie, śledzi ta para oczu: słońce i księżyc

Martwi mnie los osobistych rzeczy tych ludzi
Na których osiada kurz, powolny boa dusiciel

Jest paru sześciolatków, ich zabawy rodem z SS
(czytaj: szybki start) w życie, które jest może trochę mniej okrutne
Niż poranne kreskówki, handel wymienny zabawek, mateczyność matek
Znam ich potencjalną terapeutkę, jest taka sama, ale to się zdarza

Znam jeszcze paru innych tego typu, cudowne indywidua
Kiedy nadejdzie ich czas zrobią wszystko co trzeba. Wiem to z autopsji.

Spis treści

Bajka poranna	7
Potem	8
Balans	9
Podział dychotomiczny	10
Zapalniczka	11
*** <i>(Stoisz z kółką w ustach)</i>	12
Sonet z muzeum	13
24 cale	14
Nadejście	15
Tańce	16
Nieczysta gra	17
Fliper	18
Zeppelin	19
Odpięcie Titanica	20
Lodzie	21
*** <i>(Wysokie usta drzewa ciągle zamknięte)</i>	22
Ziazia	23
*** <i>(Nigdy nie dotrę)</i>	24
Mirmo	25
20/30	26
Cyrk odjeżdża z miasteczka	27
*** <i>(Pomiędzy jednym a drugim nożem)</i>	28
Fenek	29
Déjà vu	30
Może morze...	31
Fotografie	32
Jarmark staroci	33
Nasz ocean	34
Déjà vu II	35